

NIE TAK ŁATWO BYĆ

JAREK SZUBRYCHT
CZESŁAW MOZIL

CZESŁAWEM





CZESŁAW MOZIL
JAREK SZUBRYCHT

NIE TAK ŁATWO BYĆ CZESŁAWEM



OTWARTE

KRAKÓW 2015

Copyright © by Czesław Mozil i Jarosław Szubrycht

Opieka redakcyjna: Małgorzata Olszewska

Redakcja tekstu: Grzegorz Bogdał

Opracowanie typograficzne książki i łamanie:
Agnieszka Szatkowska

Adiustacja i korekta: Joanna Mika

Projekt okładki oraz ilustracje na okładce i w książce:
Paweł Zawisłak / KropkiKreski

Fotografie na okładce: Agnieszka Wojtuń / Green Carrot

ISBN 978-83-7515-377-4



OTWARTE

www.otwarte.eu

Zamówienia: Dział Handlowy, ul. Kościuszki 37, 30-105 Kraków,
tel. (12) 61 99 569

Zapraszamy do księgarni internetowej Wydawnictwa Znak,
w której można kupić książki Wydawnictwa Otwartego: www.znak.com.pl

Wydawnictwo Otwarte sp. z o.o.,
ul. Smolki 5/302, 30-513 Kraków. Wydanie I, 2015.
Druk: Zakład Poligraficzno-Wydawniczy POZKAL,
ul. Ceglarna 10/12, 88-100 Inowrocław

SZCZĘŚĆ BOŻE

Była wiosna. 11 kwietnia 1979 roku mama poszła do Domu Muzyki i Tańca w Zabrze na koncert Andrzeja Rosiewicza. Po godzinie poczuła ból. Wybiegła z sali. Ktoś wezwał karetkę, która zawiozła ją do szpitala. Następnego dnia przyszedłem na świat. Wiele lat później w tej samej sali w Zabrze nagrywaliśmy *X Factora*. Czy to nie jest trochę ironiczne?

Nie wiem, dlaczego matka tam poszła. W domu nie było tradycji muzycznych. Nic a nic. Nie wiem, jakiej muzyki rodzice słuchali i czy w ogóle słuchali. Na pewno mieli trochę kaset, lubiłem w nich grzebać. Tata nie chciał, żebym słuchał *Murów* Kaczmarskiego, prawdopodobnie ze względu na politykę, ale już na przykład kasetę Bajmu zakatowałem na śmierć. *Nie ma wody na pustyni, Co mi Panie dasz* – uwielbiałem te piosenki. Kiedyś wymyśliłem sobie, że mama lubi Abbę, a tata Boney M i kupiłem im płyty tych zespołów na Gwiazdkę, ale, kurde, nie pamiętam, żeby słuchali... Prawdę mówiąc, miałem poczucie, że matka jest głucha, że w ogóle nie ma słuchu. Ojciec ewentualnie jakiś tam ma, po babci. W domu w ogóle nie śpiewaliśmy. W święta nie kolędowaliśmy. Do tej pory krępuję się, kiedy mam otworzyć paszczę, i wiem, że podobnie ma większość Polaków. Byłem kiedyś na

bankiecie, na którym pewien góral się upił i zaczął śpiewać. Dobrze mu szło, nie fałszował, ale dla mnie stresujące było już samo to, że stoję obok.

Dochodzę do wniosku, że tak do końca to ja naprawdę dobrze swoich rodziców nie poznałem. Niewiele rozmawialiśmy o ich przeszłości, nigdy nie opowiadali, co robili, kiedy byli młodzi. A ja nie pytałem. To takie ukraińskie wychowanie – nie kłamie się, ale też nie mówi się całej prawdy.

W Zabrze mieszkaliśmy przy ulicy Gwardii Ludowej, która dzisiaj nosi nazwę Szczęść Boże. Kiedy przyjechałem tam po wielu latach, okazało się, że wszystko pamiętam. Świat małego chłopca stanął w miejscu. To jest moje skrzyżowanie, tu był Pewex, tam uczyłem się jeździć na rowerze. Kino Roma, jedno z najstarszych na Śląsku, wciąż istnieje. Tam po raz pierwszy obejrzałem *E.T.* Na rogu był sklep mięsny. Pamiętam tatę, jak stoi w kolejce po schab. Tuż obok, tu gdzie teraz jest lombard, było nasze mieszkanie.

Mieszkaliśmy w starej kamienicy. Tu jest mój pokój, kuchnia, ciemne podwórko, na którym grałem w piłkę. Nic się nie zmieniło. Bawiłem się głównie z Jackiem z ostatniego piętra. Oni też wyjechali. Tu kuchnia, tata robił tu lody. Sam, bo w tych kupnych, z lodziarni, znalazł kiedyś robaka i bardzo mu się to nie spodobało. Tam, za oknem, stał jego złoty volkswagen 412 LE, którego bez przerwy remontował. Teraz, w Kopenhadze, też ciągle grzebie w samochodach. Nic się nie zmieniło.

Chodziłem do świetnego prywatnego przedszkola. Pięcioro, może sześcioro dzieci. Zajęcia prowadziła pani Beata. Zabierała nas na spacer do parku obok Domu Muzyki i Tańca. Do dzisiaj pamiętam skrót przez osiedle... W przedszkolu zakochałem się w takiej Kamili. Odwiedziłem ją nawet w domu. Nie mogłem mieć wtedy więcej niż cztery lata i byłem bardzo przejęty. Oglądaliśmy razem bajki, które ktoś nam puszczał z kaset Beta. Kamila też podobno wyjechała – do Niemiec.

W Zabrzu kolegowałem się z Michałem Gwiżdżem, do tej pory jesteśmy przyjaciółmi. Nasze matki poznały się w podstawówce, siedziały razem w ławce. Kiedy się urodziłem, Michał miał roczek. Twierdzi, że pamięta, jak stał na peronie, kiedy wyjeżdżaliśmy do Danii. „Pomachaj do Czesława, bo możesz go długo nie zobaczyć”, powiedziała jego mama. To właśnie Michał pozostał moim łącznikiem z Polską, dzięki niemu miałem do czego wracać. Owszem, bywałem na wakacjach u ciotek na Śląsku i w Kobyłcu, w Wielkopolsce, ale to nie było tak ważne jak wizyty u Michała. Szczególnie w Krakowie, kiedy już studiował. Dzięki niemu zobaczyłem Polskę, której wcześniej nie znałem.

KORZENIE

Ojciec pochodził z Ukrainy, która nie była wówczas samodzielnym państwem, tylko należała do Związku Radzieckiego. Tata twierdzi, że polskiego nauczył się, słuchając radia. Matkę poznał w Zabrze, gdzie przyjechał, by odwiedzić kuzyna. Matka od tego kuzyna wynajmowała mieszkanie – i tak właśnie trafili na siebie. Tata postanowił zostać w Polsce. Dostyc późno się spotkali – on był tuż po trzydziestce, mama była pięć lat starsza. Kiedy mnie urodziła, miała trzydzieści siedem lat, a gdy przyszła na świat moja siostra – czterdzieści dwa.

Ojciec w Polsce był księgowym, czego zupełnie nie rozumiałem, bo zawsze wydawało mi się, że księgowy musi kochać porządek. Prawdopodobnie dostał tę pracę dzięki mamie. Był zatrudniony w dziale księgowości RUCH-u, a kontakty matki sprawiły, że mógł również otworzyć mały sklep z narzędziami – kłódkami, śrubkami, pierdołami. Fajnie mu się żyło i na pewno nie było mu łatwo, gdy zdecydował się to zostawić. Ale to właśnie on parł na wyjazd, on nalegał, opowiadał, że na Zachodzie będzie nam lepiej. Matka nie chciała wyjeżdżać. Jej w zupełności wystarczało to, co miała w Zabrze.

Jak mówiłem, niewiele wiem o tym, co ojciec robił wcześniej. Nie dopytywałem, a on sam nie lubi o tym rozmawiać. Wiem tylko, że na Ukrainie był dyrektorem, miał dużo ludzi pod sobą, ale pewnie nie podobał mu się komunizm, skoro zdecydował się uciec na Zachód. We Lwowie mieszkał z rodzicami, był synkiem mamusi, najstarszym i najrozsądniejszym z trzech braci.

Tuż przed wyjazdem do Danii pojechaliśmy do Lwowa odwiedzić babkę Irenkę i dziadka Stefana, po którym zresztą mam drugie imię. Nie wiem dlaczego, ale jechaliśmy przez Budapeszt. Może tak było łatwiej? Może nie trzeba było wizy? Spędziliśmy u nich jeden dzień, z którego niewiele zapamiętałem. Właściwie tylko to, że babcia była mała, a dziadek bardzo, bardzo wysoki. Pamiętam też, jak wchodzę do pokoju, w którym siedzi dziadek Stefan. Wydał mi się zimny, nadmiernie spokojny. Widziałem się z nim wtedy po raz pierwszy i ostatni w życiu, ale babcia Irenka dwukrotnie odwiedziła nas w Danii.

Kontakt z ukraińską częścią rodziny mieliśmy sporadyczny. Słabo ich znałem. Tylko mój kuzyn, Taras, przyjeżdżał do Danii razem ze swoim ojcem i rodzice pomagali im znaleźć jakąś pracę. Tata na Ukrainę nie jeździł. Nawet po 1989 roku, nawet kiedy miał już duńskie obywatelstwo. Chyba się bał, że go tam zatrzymają i nie będzie mógł wrócić do Kopenhagi. Dopiero Euro 2012 spowodowało, że na nowo odkryłem swoją rodzinę. Kupiłem bilet na mecz Dania – Portugalia

we Lwowie i powiedziałem ojcu, że skoro jadę do Lwowa, mógłbym odwiedzić krewnych. Przyjęli nas niesamowicie ciepło. Dostaliśmy do dyspozycji mieszkanie wujka, naznoscili nam materaców, pokazali miasto. Wróciłem tam kilka dni później, na mecz Danii z Niemcami, i znowu zostałem wspaniale podjęty.

Zaprzyjaźniłem się z Oksaną, córką wujka Andrija. Znam go tylko z Facebooka, bo kiedy rozwiódł się ze swoją ukraińską żoną i wziął sobie nową, Rosjankę, zamieszkał w Surgucie, na Syberii. Podobno babcia Irenka bardzo to przeżyła. Oksana to ładna, bardzo energiczna, zaradna dziewczyna. Pracuje w banku. Odwiedzała mnie później, cały czas jesteśmy w kontakcie.

Rodzina mamy jest ze Śląska. Babcia zawsze twierdziła, że mojego dziadka Czesława zabili Rosjanie. Był szyczą w kopalni i zginął tuż po wojnie, w 1947 roku. Oficjalna wersja brzmiała, że to był wypadek samochodowy. Prowadził jakiś młody chłopak. Dziadek trzy dni umierał w szpitalu. Po dziadku Czesławie otrzymałem imię. Jego żona, nieżyjąca już babcia Helena, została sama z trójką dzieci. Dwudziestodwujęcioletnia wdowa. To było hardkorowe. Moja matka miała sześć lat, wujek Maciek cztery, a Marian dwa. Maciek zmarł przez alkohol. Mariana pamiętam, jak przyjeżdżał do Danii, ale też już nie żyje. Jego również zniszczył alkohol.

Rodzina mamy mieszka w Gródkowie, w gminie Psary, gdzie mama się urodziła, i w Będzinie, najbliższym większym

mieście. Widywaliśmy się z nimi, kiedy byłem bardzo mały, później kontakt się urwał. Niedawno jednak zacząłem ich odwiedzać. Przeszedłem się po okolicy i okazało się, że pamiętam wiele miejsc i twarzy.

Mam też przyszywane ciocie, przyjaciółki mamy z czasów szkolnych, które bardzo lubię. Na przykład ciocię Danusię, do której jeździłem do Polski na wakacje i której córka jest moją matką chrzestną. Miała wtedy czternaście lat i musiała dostać specjalne pozwolenie od księdza, żeby móc mnie trzymać do chrztu. Inna ciocia wyemigrowała do Niemiec. Takimi ciociami były też dla mnie mama Michała Gwiżdża, która niestety już nie żyje, i ciocia Marysia z Wadowic.

IRENKA

Pamiętam, jak kiedyś ojciec przyszedł do mnie i powiedział, że jedziemy do mamy i Irenki. Jakiej Irenki? Wsiadliśmy do samochodu i pojechaliśmy pod szpital. Tata pokazał mi okno. Za szybą była mama, machała do nas. Ojciec powiedział, że właśnie urodziła mi się siostrzyczka.

Zawsze strasznie mnie kochała, ale ja chyba nie byłem najmilszym starszym bratem. A już na pewno nie wtedy, kiedy byłem nastolatkiem. Chyba zdarzało mi się czasem jej wlać, a parę razy dokuczyłem jej tak, że doprowadziło ją to do łez. Okropne.

Irenka, najmłodsza z nas wszystkich, najłatwiej zaadaptowała się w Danii. Nasze światy były bardzo różne. Niewielu mieliśmy wspólnych znajomych – może kilka osób z harcerstwa, jakieś dziewczyny z liceum, które też poznałem, bo były Polkami. Pamiętam, że kiedy moja siostra była bardzo mała, uczyłem ją słuchać Davida Bowiego. Później, jako nastolatka, kochała się w boysbandzie 3T, jak wszystkie jej koleżanki, ale plakatu Bowiego nigdy nie zdjęła. Wciąż jest fanką muzyki i dzisiaj zdarza nam się chodzić razem na koncerty.

Mam z nią świetny kontakt. Mieszka z mężem i córką w centrum Kopenhagi i to jest zajebiste. Często nocuję u nich

na kanapie. Irenka jest zupełnie inna ode mnie, taka racjonalna, spokojna i rozsądna. Jest cudownym aniołkiem. Nie rozumiem, jak ludzie mogą się kłócić z rodzeństwem, nawet podawać się do sądu o majątek. To są jakieś hardkory, których nie ogarniam. Irenka jest po prostu idealna. Zawsze pomagała rodzicom. Na przykład kiedy mama musiała iść do lekarza, Irenka szła z nią i tłumaczyła. Mama oczywiście przez te wszystkie lata nauczyła się mówić po duńsku, ale nie perfekcyjnie, a w takich sytuacjach lepiej być dokładnym.

Na swoim weselu Irenka zeszła z parkietu ostatnia. Wszyscy już padali, a ona nie miała dość tańca. Kiedy trzeba, potrafi być Terminatorem. Conrad, jej mąż, to pół Polak, pół Irlandczyk urodzony w Danii. Jego matka jest jedyną z piątki rodzeństwa, która ma dzieci, więc zarówno Conrad, jak i jego brat Gareth są pupilkami całego rodu. Super było, kiedy ci wszyscy Irlandczycy przyjechali do Kopenhagi na wesele. Są strasznie muzykalni, pięknie śpiewali, grali Abbę na bani, coś niesamowitego. Najfajniejsze jest to, że ojciec Conrada, który przez lata rozmawiał ze swoją żoną i synami po angielsku, teraz znów zaczął mówić po polsku, żeby się komunikować z moimi rodzicami. Po polsku mówi też do swojej wnuczki – bo w lipcu ubiegłego roku Irenka urodziła córkę, Lidię. Moi rodzice w ciągu jednego dnia odmłodzieli o dziesięć lat. Przeszli też ciągle mnie pytać, kiedy się wreszcie ożenię.

ZA CHLEBEM

Do Danii wyjechaliśmy całą czwórką – matka, ojciec, ja, pięcioletni chłopak, i Irenka, która miała wtedy roczek. Sądzę, że ojciec miał masterplan. Cała ta emigracja była jego pomysłem. Polska lat siedemdziesiątych była dla Ukraińców prawdziwym, dostatnim Zachodem, ale on koniecznie chciał wyjechać. Planował się dostać nawet dalej, do Kanady, tak jak jego kolega, który wyjechał do Vancouver czy Toronto. My też mieliśmy więc jechać do Kanady, ale wyszło inaczej. To była emigracja za chlebem, rodzice nigdy nie byli zaangażowani w politykę.

Nie wiem, jak dostaliśmy wizę, to musiał być jakiś cud. Rodzice skłamali, że jedziemy tylko na chwilę, odwiedzić babcię Helenę. W latach sześćdziesiątych babcia Helena poznała Polaka, który mieszkał w Danii, i hajtnęła się po raz drugi. Nigdy nie nauczyła się mówić po duńsku, co jest dla mnie nie do przyjęcia. Nienawidzę, kiedy ludzie wyjeżdżają do innego kraju i nie chcą się integrować. W każdym razie babcia tam została, więc kiedy ojciec z matką podjęli decyzję o wyjeździe, Dania była naturalnym kierunkiem. Początkowo miało to być tylko przystanek przed Kanadą, ale nie ruszyliśmy w dalszą podróż, bo rodzice nie dostali pozwolenia – z czego dzisiaj

się bardzo cieszę, bo gdyby nam się udało, Polska byłaby zbyt daleko. Zapewne nigdy bym jej nie poznał, nie wróciłbym...

Wyjazd kojarzy mi się z nocą. Zapewne przez to, że podróż zaburzyła dobowy rytm dziecka, że nie spałem wtedy, kiedy powinienem był spać. Dotarliśmy do Kopenhagi, ale nie zatrzymaliśmy się tam. Od razu skierowano nas do obozu dla uchodźców w Jutlandii, gdzie czekaliśmy na azyl razem z innymi Polakami, a także w towarzystwie wygnańców z Iranu czy Iraku. Nie wszyscy mieli możliwość wyjechać pełnymi rodzinami, było tam sporo samotnych matek. Pewnego dnia wybuchła afera na cały obóz, bo jakaś Polka miała romans z Irańczykiem. Moi rodzice też o tym plotkowali, to było dla nich dość egzotyczne. Ale jedno muszę im przyznać – wychowując mnie, bardzo duży nacisk kładli na tolerancję. A wcale nie było to takie oczywiste, bo na emigracji poznałem Polaków, którzy byli największymi rasistami, prawdziwymi skurwysynami. Nie mieści mi się to w głowie, że można było wyjechać z biednej Polski do Danii i mieć poczucie, że jest się kimś wartym więcej niż Turcy czy imigranci z Afryki.

Warunki w obozie były bardzo dobre, mieliśmy z rodzicami swój pokoik. Spędziliśmy tam trzy miesiące, może pół roku, i nie mogliśmy narzekać. Parę lat później, kiedy pojawiła się wielka fala uchodźców z byłej Jugosławii, było znacznie gorzej. Ci ludzie uciekali przed wojną i tłoczyli się całymi rodzinami w takim jednym pokoju siedem czy osiem lat, w dodatku nie wiedząc, jaka jest ich przyszłość, czy w ogóle

będą mogli zamieszkać w Danii – a jeśli będą musieli wrócić, to czy będzie do czego. Nie mieli pojęcia, czy ich domy wciąż stoją.

Jeszcze w Jutlandii zacząłem chodzić do szkoły. Pewnego dnia po lekcjach przyszedł po mnie tata. Był w euforii, chyba nigdy wcześniej nie widziałem go takim szczęśliwym. Cieszył się, bo właśnie dostał wiadomość, że Duńczycy pozwolili nam zostać.

SWINGERSI

Zamieszkaliśmy na przedmieściach Kopenhagi, w Tastrup. Rodzice szukali pracy. Dali ogłoszenie do gazety, że są parą, która chciałaby razem sprzątać, i byli bardzo zdziwieni, bo zaczęli się do nich zgłaszać duńscy swingersi. Okazało się, że rodzice zupełnie nieświadomie skorzystali z sekretnego kodu, którym tamci się porozumiewali.

Może się mylę, ale wydaje mi się, że rodzice nigdy nie mieli zbyt wielu duńskich znajomych. Na emigracji nie wybierasz sobie przyjaciół. Żyjesz wśród rodaków, z którymi zetknął cię los. Na lekcjach duńskiego, obowiązkowych dla wszystkich emigrantów, ojciec poznał na przykład górala Mariana i do dzisiaj utrzymują kontakt. Była ciocia Krysia, która godzinami przesiadywała u nas kuchni i napierdała na „czarnuchów”. „Ciociu! – oburzałem się. – To nie czarnuchy, to moi kumple!” ale ona wiedziała swoje. Był też ojczym Marcina, mojego kolegi z podwórka. Ludzie plotkowali, że uciekł z Polski na pontonie, którym przepłynął przez Bałtyk, i że na morzu mu odbiło. Każdy sobie jakoś radził, miał swój sposób na życie. Zawsze się śmieję, że jeśli nie szło ci na emigracji, to otwierałeś polski klub i zostawałeś prezesem. A jeśli i to nie wypalało, to wracałeś do Polski i zostawałeś gwiazdą telewizyjną.

Moi rodzice mieli naprawdę trudny start. Uczyli się języka duńskiego, bo to był warunek otrzymania pomocy od państwa, i jednocześnie musieli zapierdalać, żeby zarobić na życie. Oboje ciężko pracowali fizycznie. To jest bolesna cena emigracji: nie odzyskujesz statusu, który miałeś w ojczyźnie, nie ma mowy o pracy w zawodzie. W Zabrzu mama uczyła polskiego, a w Danii nikogo to przecież nie interesowało. Musiała się odnaleźć w nowej rzeczywistości. Szybko nauczyła się duńskiego, ale długo wstydziła się mówić, bo jest perfekcjonistką.

Kilka lat później mamie udało się wrócić do nauczania – zaczęła pracować jako nauczycielka w polskiej ambasadzie. Do tego w szkole Avedøre uczyła języka polskiego dzieci emigrantów. Była bardzo szanowana w kręgach polonijnych, od początku należała do polskiego klubu Ognisko. Byłem dumny, kiedy jesienią 2014 roku Klub Dyskusyjny „Agora” obchodził swoje dwudziestolecie i zaproszono mnie, żebym zagrał koncert solowy w Ambasadzie Polski w Kopenhadze. Mama siedziała w pierwszym rzędzie.

Poszedłem do szkoły. Jako dziecko emigrantów trafiłem do MO, czyli *modtageklasse*, takiej klasy, która przyjmuje obcokrajowców, integracyjnej. Duńskie dzieciaki po zerówce szły do pierwszej klasy, jak wszędzie, ale my, imigranci, po drodze zaliczaliśmy jeszcze *modtageklasse*, gdzie mieliśmy się nauczyć języka. Moi koledzy z klasy pochodzili z Turcji, Maroka, Iranu, z zupełnie innego kręgu kulturowego. Niektórzy nawet urodzili się w Danii, ale u nich w domu mówiło się

tylko po turecku. Integracja przebiegała więc bardzo powoli. Ja miałem fuksa, bo mama szybko nauczyła mnie czytać, więc radziłem sobie również z czytaniem po duńsku, nawet jeśli nie wszystko rozumiałem. Dzięki temu po pierwszym roku w MO mogłem od razu przeskoczyć do normalnej drugiej klasy, a moi tureccy koledzy zostali rok w tyle.

Nasza klasa liczyła mniej więcej dwadzieścioro pięcioro dzieciaków, z czego pięcioro czy sześcioro, może siedmioro, obcokrajowców. Reszta to byli Duńczycy. Świetne czasy. Nauczyciele trochę od nas wymagali, ale zwykle wystarczyło, jeśli pouczyłem się na przerwie. Rzadko odrabiałem zadanie w domu, z rodzicami. Miałem poczucie, że nie trzeba się starać, łatwo mi to wszystko przychodziło. Przez całą podstawówkę byłem uważany za jednego z najlepszych uczniów w klasie, ale kiedy się dostałem do liceum, w którym trzeba było się uczyć, od razu spadłem na dużo niższą pozycję. W sumie to byłem najgorszy.

JÓZEF I SYN HERODA

W weekendy jeździliśmy na wyspę Amager – tam gdzie jest lotnisko – do Sankt Annæ Kirke, czyli kościoła, który był mekką duńskiej Polonii. Spotykali się tam katolicy z Filipin, Irlandczycy i Polacy. Księża byli polscy, zakonnice też, siostry elżbietanki i służebniczki. U Świętej Anny w niedzielę jest tylko jedna msza po polsku, zawsze przychodził na nią wielki tłum, był amok totalny. Za każdym razem full. Dzisiaj jeździ się też do księdza Zdunka, do kościoła w Hvidovre na przedmieściu Kopenhagi. Cudowny człowiek, sprawiedliwy i bardzo lubiany.

Rodzice nie byli bardzo religijni, ale w Taastrup mieszkało niewielu Polaków, więc kiedy chcieliśmy kogoś spotkać, najbardziej naturalnym miejscem był kościół. Po mszy gromadziliśmy się wszyscy w takiej dużej sali, gdzie zawsze pachniało kawą. Babysitterki zajmowały się dziećmi, żeby rodzice mogli swobodnie porozmawiać. Jest tam też polska biblioteka, ze starszymi książkami. Ale ja mało czytałem – *W pustyni i w puszczy* i chyba coś jeszcze. W tej sali odbywały się też zbiórki polskiego harcerstwa, drużynę prowadził Paweł Kostka. Dużo się o nim plotkowało, bo kiedy działasz w kręgu polonijnym, to każdy myśli, że w tym, co

robisz, jest jakieś drugie dno, że coś dla siebie zgarniasz. Ludzie szeptali, że to niemożliwe, żeby robił to charytatywnie. I jeszcze jego rodzina się w to angażuje? A może on robi na tym interes życia? Polonia nie ma zaufania do ludzi, którzy działają dla wspólnego dobra. Dzisiaj już nie ma nikogo, kto zawalczyłby o polskie harcerstwo w Kopenhadze, bo pewnie nikt nie ma się ochoty mierzyć z podobnymi plotkami na swój temat.

W każdą sobotę mieliśmy w kościele Świętej Anny lekcje polskiego, śpiewałem też w tamtejszym chórze. Lubiłem to. Brzmi to jak paradoks, ale jestem przekonany, że im lepiej znasz swoje korzenie, tym lepiej aklimatyzujesz się w obcym kraju, tym łatwiej przebiega integracja. Chór ze Świętej Anny jest cudowny, najlepszy, choć amatorski. Wszyscy są emigrantami. Ten chór śpiewa między innymi w mojej *Maszynce do świerkania*. Kiedy nagrywaliśmy *Debiut*, powiedziałem do Michała Zabłockiego: „Słuchaj, w tej piosence musi być, kurde, chór! Bo tacy przecież jesteśmy! My, Polacy, *united people*. Klaszczemy do Rubika, kochamy *Keine Grenzen*. Musi być chór, bo chór to nadzieja”. Zadzwoniłem więc do siostry Tarsylli, która prowadziła polski chór, i wytłumaczyłem, o co chodzi, a ona pozwoliła mi przyjść na próbę. Nigdy nie zapomnę widoku tych polskich zakonnic i starych polskich emigrantów, którzy śpiewają: „Uciekła ładna babeczka z dość wesołego miasteczka...”. Potem przez dwa lata czekali na płytę, bo dałem dupy i ciągle zapomniałem im przywieźć.

U Świętej Anny miałem pierwszą komunię i bierzmowanie. Pierwsza komunია wygląda tam jak w Polsce, jest niczym mały ślub, totalna. W prezencie dostałem miniwieżę i dwie czyste kasety, mogłem sobie nagrywać piosenki z radia. A na bierzmowanie dostałem CD-playera. Wtedy na pchlim targu kupiłem sobie pierwszą płytę: *Greatest Hits of Elvis Presley*. Zaraz potem zdobyłem *Get a Grip* Aerosmith.

Przez chwilę byłem nawet ministrantem, ale przyszedł czas, że przestałem chodzić do kościoła. Dwa razy w ciągu paru miesięcy zasłałem w trakcie mszy. Zemlałem, kiedy klękałem. Przestraszyłem się i przestałem chodzić. Uważam się za człowieka wierzącego, ale ten rytuał mnie strasznie wkurwiał. Nie lubiłem być do niczego zmuszany. Wiara to moja prywatna sprawa.

W kościele zacząłem też swoją karierę sceniczną. Miałem sześć lat. To był występ w jasełkach, które organizowała siostra Tarsylla. Co roku miałem jakiś epizod – raz byłem Diabłem, to znów Herodem, raz chyba nawet Józefem, ale najczęściej grałem syna Heroda. Dobrych parę lat to trwało. Wszyscy wiedzieli, że im jesteś starszy, tym gorsze otrzymujesz role. Kiedy zostajesz Józefem, wiesz, że twoja jasełkowa kariera dobiega końca. To najnudniejsza rola, bo nic nie mówisz, tylko chodzisz za Maryją. Potem możesz być już tylko pasterzem i koniec, czas się żegnać. Masz dwanaście lat, jesteś już za duży i nie ma dla ciebie ubranek. Siadasz na widowni.

Siostra Tarsylla była niezniszczalna. Z inną siostrą mieliśmy religię. Lubiła mnie, ale jednocześnie miała mnie dość, bo ciągle wdawałem się z nią w dyskusje. Pamiętam, jak zapytałem, co to jest grzech. „Już ci, Czesław, tłumaczę – odpowiedziała. – Grzech jest wtedy, kiedy robisz coś złego i masz potem wyrzuty sumienia”. Ładnie to ujęła, ale byłem w takim wieku, że nie mogło mi to wystarczyć. „A więc jeśli miałem z dziewczyną seks w namiocie i było super, i nie mam żadnych wyrzutów sumienia, to znaczy, że to nie jest grzech?”, dopytywałem głupio. Wyrzuciła mnie za drzwi.

Dziwni ludzie tam przyjeżdżali. Bo im lepiej czujesz się w nowym społeczeństwie, tym mniejszą masz potrzebę, żeby machać flagą w polskim kościele. U Świętej Anny pojawiało się więc wielu cudownych ludzi, ale i dużo frustratów, a nawet totalnych bandziorów. Ważne było, żeby przyjechać godzinę albo i półtorej przed mszą, żeby zaparkować samochód jak najbliżej wejścia do kościoła. Potem mogłeś iść na kawę i dopiero później na nabożeństwo, kiedy kościół był już pełny. Po skończonej mszy wszyscy wychodzili, prawdziwa sielanka, a ty idziesz do swojego auta i wszyscy widzą, jakim jeździsz samochodem. Jak w *Rodzinie Soprano*. Wyczyszczę swoje niebieskie volvo na niedzielę i zaparkuję tutaj – niech wszyscy wiedzą, że mi się udało! Albo posadzę chłopaka pod ołtarzem, niech zajmie miejsce, a ja przyjdę o jedenastej pięćdziesiąt dziewięć, w najlepszym futrze, w środku lata – i zrobię catwalk przez cały kościół. Niech wszyscy widzą! Przepycham

się tak aż do pierwszej ławki, bo tam siedzi mój synek i czeka na mamusię. A mamusia się nie spieszy, tylko idzie powoli i po drodze wszystkim się kłania. Dzień dobry pani. Dzień dobry panu. Dzień dobry...

U Świętej Anny spotkałem Joannę Zofię Mikołajczyk, cudowną dziewczynę. Dzisiaj jest producentką, zrobiła większość klipów Czesław Śpiewa. Całowaliśmy się. Opowiedziałem o tym w jakimś wywiadzie i od razu była afera na całą Polskę, że uprawiałem seks w kościele. Jaki to seks? Najwyżej petting. Takie rzeczy, które robisz, jak jesteś nastolatkiem. Zajebiste przeżycia. Żałuję, że później się od siebie oddaliliśmy, że rzadko się widzimy.

BUTELKI I KAMIENIE

Życie na moim osiedlu nie było łatwe, ale jako sześciolatek nie zdawałem sobie z tego sprawy. Szybko zdobyłem więc w Taastrup mnóstwo przyjaciół – Turków, Marokańczyków, Irakijczyków. Byłem jedynym białym w naszej ekipie, ale zaakceptowali mnie, bo też byłem obcy. Włączyliśmy się po okolicy całymi stadami, biliśmy się z Filipińczykami i Wietnamczykami. Miałem paru kumpli Polaków, ale krąg moich najbliższych przyjaciół to były chłopaki z Bliskiego Wschodu. Odwiedzaliśmy się w domach. Uwielbiali krówki, którymi częstowała nas moja mama. Czasem zostawali na obiad, tylko musieli się wcześniej zapowiedzieć, żeby nie było świni. Dla mnie z kolei niesamowitym, silnym przeżyciem były wizyty u nich, bo to była całkowicie odmienna kultura. W trzykondojowym mieszkaniu mieściła się cała rodzina, z dziadkami i piątką dzieci. Z kuchni unosiły się zupełnie nieznanne mi zapachy, mebelki też były inne, na ścianach dywany, inny styl życia. Ich rodzice byli bardzo gościnni, przyjaźni.

Tak bardzo się kolegowaliśmy, szczególnie z Ymerem i Alim, że postanowiłem się nauczyć ich języka. Poszedłem z nimi dwa razy na lekcje tureckiego, które odbywały się po zakończeniu naszych zwykłych szkolnych zajęć. To było

ekstremalne, intensywne doświadczenie. Nauczyciel wrzeszczał, rzucał w dzieciaki kredą... Nie, to nie dla mnie.

Ymer i Ali dużo mówili o Bogu, byli bardzo religijni. Nigdy nie było jednak lepszego Boga – zawsze był twój Bóg albo mój Bóg, ale bez wartościowania. Czasem porównywaliśmy przykazania: dziesięć przykazań z zasadami islamu. To było bardzo czyste i cieszyliśmy się, kiedy odkrywaliśmy podobieństwa.

Jak się okazało, jeszcze wiele lat później, w liceum i na studiach, wyróżniałem się tym, że mówiłem językiem getta. Nie chodzi o akcent, ale o dobór słów. Kiedy chciałem coś komuś udowodnić, mówiłem, że przysięgam na Boga – tak jak moi tureccy koledzy. Duńczyk nigdy tak nie powie.

Wszyscy ci moi koledzy mieli obrzezane penisy. Kiedyś przyszedł do mnie Ymer, zestrany ze strachu, i mówi, że teraz jego kolej. „Kurczę, nie zrobili ci tego, jak byłeś mały?“, zapytałem. Okazało się, że nie. Pamiętam, że wycofał się na jakiś czas z naszego towarzystwa. Pewnie się wstydził, może go bolało. Dołączył do nas znowu po paru tygodniach. Ale obrzezanie pozostało tematem tabu.

Kiedy mieszkaliśmy w Taastrup, wszystko, co widziałem wokół siebie, wydawało mi się normalne, ale dzisiaj wiem, że nie działało się tam najlepiej. Kumpla, który mieszkał piętro niżej, bardzo często odwiedzała policja. Nikt do końca nie wiedział dlaczego. Raczej nie dlatego, że jego młodszy bracia ciągle robili kupę na klatce schodowej. Pewnie dlatego,

że starszy brat rozrabiał, był już wciągnięty w poważniejsze sprawy, jakieś hardkory. Zawsze byli jacyś starsi bracia. Więksi, silniejsi, lepiej ubrani. Macho, którzy mieli prawdziwe dziewczyny. Imponowali nam.

Było dużo syfu. Ciągle słyszało się o jakichś włamaniach, kradzieżach z piwnic. Miałem może osiem lat, gdy ktoś okradł duży sklep z meblami i dywanami na naszym osiedlu. Następnego dnia razem z kumplami, Sławkiem i Tomkiem, znaleźliśmy te dywany schowane dosłownie dwieście metrów dalej. Zawiadomiliśmy obsługę sklepu. Na drugi dzień nasze zdjęcie było w gazecie, dorosli nas chwalili. Pamiętam też, że jak kiedyś wracaliśmy z piłki, znaleźliśmy martwego faceta leżącego przy piaskownicy. Gapie się zbierali, mówili, że skoczył z czwartego piętra. Bardziej mnie to wtedy ciekawiło, niż przerażało, ale to nie była fajna okolica.

Wiele lat później o moich kolegach z Taastrup czytałem w gazetach... Większość poszła w mocną gangsterkę. Nastął czas, kiedy dwa największe gangi motocyklowe, Bandidos i Hells Angels, walczyły o terytorium i pozyskiwały swoich dilerów na wszystkich dzielnicach miasta. Mnie ten temat nie dotknął, bo gdy wchodziłem w najgłupszy wiek, rodzice wywieźli mnie do swojego nowego domu. Boję się samej myśli o tym, do czego mogłoby dojść, gdybyśmy zostali... Mój najlepszy przyjaciel, Ymer, skończył źle, bardzo źle. Najlepiej wychowany z nas wszystkich, najgrzeczniejszy, stał się najgroźniejszym gangsterem naszego pokolenia. Podobno nawet

kogoś zabił. Na szczęście niektórzy, jak Ali, po wyjściu z więzienia ułożyli sobie życie, pozakładali rodziny.

To nie były złe chłopaki, ale wszystko sprzysięgło się przeciwko nim. Chodziliśmy do sklepu z cukierkami albo do takiego dużego sklepu Superleg, żeby pograć sobie za darmo na konsoli Nintendo. Graliśmy, dopóki nas nie wywalali. Mnie, jako białego, sprzedawcy czy ochrona traktowali z dużym pobłażaniem, a moi kumple zawsze byli podejrzani, wyłącznie ze względu na kolor skóry. Kiedyś narozrabialiśmy i zostaliśmy przyłapani na gorącym uczynku. Pamiętam jak przez mgłę, jak pani ze sklepu opierdala mojego kolegę, mnie w ogóle. Byłem mały, niewiele z tego rozumiałem, ale odbierałem wyraźne sygnały, że im jest trudniej. Z roku na rok coraz trudniej. Zaczynało się od problemów w szkole, a kończyło na bezrobociu – i nikt się nimi nie interesował. Ani państwo, ani rodzice, którzy nie mogli się pogodzić z tym, że są w obcym kraju, i całymi dniami przesiadywali w swoich tureckich klubach.

To się zaczęło się w latach siedemdziesiątych, kiedy Dania była już bogatym krajem. Okazało się, że najgorszej, najbrudniejszej pracy nikt nie chce wykonywać. Fabryki, budowy, sprzątanie... Duńczycy tego nie tykali. Zaczęli więc przyjeżdżać obcy. *Gaestearbejdere*. To nie byli Turcy z wielkich miast, nie otwarci na świat mieszkańcy metropolii, ale prości, biedni chłopcy z jakichś małych wiosek pod Ankarą. Przerażało ich to, co zastali w nowej ojczyźnie, więc wychowywali swoje

dzieci w sposób jeszcze bardziej konserwatywny niż u siebie. Liberalni Duńczycy nie byli na to przygotowani. Nie potrafili zrozumieć tych kobiet zasłaniających twarze, tych panów siedzących przed tureckimi klubami, popijających herbatę i palących fajki wodne. Z drugiej strony socjal był duży, więc rodzina z czwórką dzieci mogła wyżyć z samego zasiłku. Ale żyli w swoim świecie, w zamkniętych enklawach. Nie szła za tym żadna integracja, dlatego rosła wzajemna nienawiść. W takiej dzielnicy jak nasza młodzi muzułmanie dorastali w przekonaniu, że Duńczycy to wrogowie, natomiast młodzi Duńczycy, widząc niechęć ze strony emigrantów, chętnie dołączali do organizacji skrajnie prawicowych. Sporo było też na naszym osiedlu spięć pomiędzy Turkami a Kurdami, mówiło się o tym. Ekstremalne sytuacje.

Miałem kumpelę z Syrii, Lejlę, prawdziwą chłopczycę, która świetnie grała w piłkę. Tak dobrze, że było dla mnie jasne, że jeśli pójdzie do klubu i zacznie trenować z innymi dziewczynami, zostanie zawodowcem. Niestety w pewnym momencie przestała z nami latać po boisku, bo jej rodzice uznali, że młoda kobieta nie powinna tego robić, że ma siedzieć w domu i czekać na propozycję małżeństwa.

Wieczorami dużo graliśmy w piłkę nożną. Dzięki piłce związały się nasze pierwsze przyjaźnie, bo spotykaliśmy się z chłopakami na podwórku. Oni nie mówili po duńsku, ja też nie, ale na migi potrafiliśmy się podzielić na drużyny i rozgrywać mecze. Żałuję, że ktoś nie nakręcił ukrytą kamerą,

jak się wtedy komunikowaliśmy, to musiało być dzikie: gesty i krzyki zastępowały nam znajomość języków. Ale najważniejsze, że chcieliśmy się porozumieć.

Klub z Høje-Taastrup grał w trzeciej czy czwartej lidze i prowadził zajęcia dla młodzików, na które się zapisałem. Grałem jako prawy pomocnik. Zapewne wyobrażałem sobie, że idzie mi lepiej, niż szło w rzeczywistości, ale chyba faktycznie nie graliśmy najgorzej, skoro kiedyś pojechaliśmy na turniej do Lyonu, do Francji. Niestety, dostaliśmy tam w dupę od drugiej drużyny młodzików Barcelony – zmasakrowali nas.

W Taastrup zawsze coś się działo. Zbieraliśmy butelki. Za butelkę dostawało się koronę, równowartość pięćdziesięciu groszy. Kiedy uzbieraliśmy po pięć, dziesięć butelek, szliśmy bardzo daleko, z cztery kilometry, do centrum handlowego CITY 2. Te galerie, które buduje się teraz w Polsce, są dziesięć razy większe, ale wtedy CITY 2 wydawało nam się olbrzymie. Potrafiliśmy tam spędzić cały dzień, głównie w salonie gier. Te dziesięć czy piętnaście koron z butelek wystarczało najwyżej na trzy rundy, ale patrzyliśmy, jak grają inni. Po paru godzinach, kiedy już nam się znudziło, wracaliśmy do domu.

Często chodziliśmy do Ikei. Mieli tam szafki dla klientów, zamykane na klucz, do których trzeba było wrzucić pięć albo dziesięć koron. Ludzie, oddając klucz i wyciągając swoje rzeczy z szafki, często zapominali o tej monecie, więc mieliśmy pieniądze na McDonalda. Zawsze gdy coś kupowaliśmy,

dostawaliśmy kolorowe balony wypełnione helem. Wysyłaliśmy je w świat. Moi kumple wypuszczali je, wierząc, że dolecą do Turcji, Iraku czy Maroka, a ja swoje wysyłałem do Polski. Której już prawie w ogóle nie pamiętałem.

W Taastrup nauczyłem się, jak sobie radzić wśród ludzi. Na przykład jak unikać bójk – gdy ktoś cię popchnie, musisz go popchnąć dwa razy mocniej, nie możesz okazać słabości. W ten sposób zyskujesz szacunek grupy. Trochę bójek było, nie zawsze dało się ich uniknąć. Czasem latały kamienie. W Danii bardzo popularne są noże, dźgają się nimi już nastolatki. Po przyjeździe do Polski bardzo się dziwiłem, że tu właściwie tego nie ma. Ostatnio słyszy się, że w Krakowie jest z tym problem, ale w Danii właściwie co weekend coś się dzieje. Każdy tam musi walczyć o swoje terytorium.

Kiedyś przyszedłem do domu z płaczem, bo ktoś mnie pobił. Ojciec opierdolił mnie, zamiast pocieszyć: „Kiedy ja byłem młody, na Ukrainie, nie mogłem wrócić do domu z płaczem, bo by mnie twój dziadek za to zlał!”. Zapamiętałem tę lekcję na całe życie i już nigdy przy nim nie płakałem. Jeśli na podwórku coś było nie tak, wiedziałem, że muszę ogarnąć to samemu. Podwórkowe wychowanie przypomniało o sobie, gdy już byłem dorosły, kiedy walnąłem jednego paparazzo. Byłem po wódzie i zdenerwował mnie, bo naruszył moją przestrzeń osobistą.

Pewnego dnia rodzice się wyprowadzili i zabrali mnie ze sobą. Przyszło lato 1992 roku i po prostu zniknąłem z Taastrup.

Rzadko tam wracałem. Kiedy byłem w liceum, zadzwoniła do mnie Done, koleżanka z podstawówki. Wychodziła za mąż i zaprosiła mnie na swój ślub. Pamiętam, jak wtedy płakała. Rok później zresztą się rozwiodła. W tamtym środowisku dużo było ustawianych małżeństw, bo ci ludzie kontynuowali w Kopenhadze tradycje wyniesione ze swoich tureckich wsi i miasteczek. Wyobraź więc sobie, że Turek urodzony i wychowany w Kopenhadze, myślący już jak Duńczyk, dostaje za żonę dziewczynę, która właśnie przyjechała z tureckiej prowincji. Trudne klimaty. Wesele Done było totalne – w dużej sali gimnastycznej. Ja, trzech Duńczyków, naszych wspólnych kolegów z podstawówki, i z pół tysiąca Turków.

Zawsze miałem fuksa, bo jestem kameleonem. Potrafię się dogadać z każdym. Przerąbane mieli ci, którzy wyjeżdżali z Polski w wieku nastu lat, bo to dla dorastającego człowieka najtrudniejszy czas. Jest za późno na radykalną zmianę. Oni już nie potrafili się zintegrować.

ZA MAŁY NA PANA KLEKSA

Lubiłem kino. Jak już wspomniałem, pierwszy film, jaki zapamiętałem, widziałem w zabrzańskim kinie Roma. Miałem cztery latka, może pięć, kiedy mama zabrała mnie na *E.T.* Byłem zachwycony. W tym samym kinie obejrzałem też *Akademię pana Kleksa* i mama twierdziła, że później przez trzy noce nie mogłem spać, tak bardzo się bałem. Wszystko przez straszego Golarza Filipa i skonstruowaną przez niego lalkę, która wszystko niszczyła. Za mały byłem na takie wrażenia. A ten guzik, w który zamienił się pan Kleks, długo śnił mi się w koszmarach.

Przede wszystkim jednak jestem dzieckiem wychowanym na satelicie. W Danii w latach osiemdziesiątych wszyscy mieli antenę, więc oglądałem *Transformers*, *He-Mana* i wrestling, a później z kolegami urządzaliśmy sobie zapasy na podwórku. Idolami wszystkich małych Turków i Marokańczyków byli „Macho Man” Randy Savage i „Mr. Perfect” Curt Hennig. Ale to Hulk Hogan, ten olbrzym z jasnymi włosami i długim wąsem, był bogiem. Oglądaliśmy też filmy kung-fu, ale jak Bruce Lee całował się z dziewczyną, wszyscy moi koledzy zasłaniali sobie oczy, nie wiedzieli, gdzie się schować. „Co wy, kurde, robicie? Bruce Lee całuje się z laską!”, dziwiłem się. „Na to nie

wolno patrzeć”, odpowiadali zawstydzeni. Oglądałem też namiętnie horrory z Freddyem Kruegerem i *Powrót do przyszłości*, jak wszyscy w tamtym czasie. Pamiętam, że ojciec wziął mnie kiedyś do kina na *Labirynt*. Nie wiedziałem jeszcze, kim jest David Bowie, ale ten film zrobił na mnie ogromne wrażenie. Jako młody chłopak obejrzałem też w telewizji *Doktora Żywago* i totalnie mnie rozwalił.

Do tego dochodziły *Dźwięki muzyki* z 1965 roku, które w Danii pokazywane są w każde święta, jak w Polsce *Kevin sam w domu*. Mieliliśmy kiedyś w *X Factorze* przygotować z moją drużyną piosenki musicalowe. Zapaliłem się: „Weźcie cokolwiek z *Dźwięków muzyki*, tam wszystko jest kultowe!”. Okazało się, że nikt nie podziela mojego entuzjazmu. Byłem w szoku, bo to przecież potęga nad potęgami, sam widziałem *Dźwięki muzyki* chyba z osiem czy dziewięć razy! Dopiero Wojtek Iwański, reżyser *X Factora*, uświadomił mnie, że w Polsce dzieciaki nie znają tego obrazu. Dorośli zresztą też nie. Może historia zakonnicy, która zrzuca habit, żeby być z panem kapitanem, nie przyjęła się w katolickim kraju? Szkoda, bo to przepiękny film.

Najważniejsze jednak były gry. Najpierw chodziliśmy z chłopakami do salonu, a jak miałem osiem lat, dostałem na Gwiazdkę konsolę Nintendo, a na niej same kultowe rzeczy: *Ice Climber*, *Super Mario Bros* czy *Metal Gear*. I przede wszystkim *The Legend of Zelda*. Wszyscy byliśmy w to wkręceni. Gramy na przykład na podwórku w tenisa, a tu otwiera się

okno i kumpel krzyczy: „Chłopaki, przeszedłem dalej!”. No to rzucamy rakiety i pędzimy do niego. Słońce świeci, piękny dzień, a my się tłoczemy przed telewizorem, żeby sprawdzić, jak udało mu się przejść etap, na którym wszyscy utknęliśmy: „O, serio!? Wystarczyło wejść do ciężarówki i nie dotykać joysticka przez minutę, żeby zaczęła jechać?”. Długo to komentowaliśmy, a potem każdy biegł do siebie, żeby sprawdzić, czy to zadziała. Kiedy byłem starszy, nie wiem, ile razy okłamałem mamę, mówiąc, że całe popołudnie ćwiczyłem na akordeonie, gdy tymczasem non stop grałem na konsoli.



Ludzie czasem patrzą na mnie jak na głupka. „On chyba nie jest zbyt inteligentny, skoro robi tyle błędów gramatycznych. Tak dłu-go już tutaj mieszka, a nie potrafi się dobrze wystawić po polsku. To na pewno debil”.

Mam brzusek, śmieszny akcent, łysieję, nie przypominam typowego polskiego faceta. Mylę się, przyznaję do błędów. Ale wiecie co? To jest magnes, który przyciąga kobiety.

Nigdy nie wstydzilem się być sobą – małym gówniarzem z akordeonem. Dorastałem w Kopenhadze, ale nie czułem się Duńczykiem, nawet przez jeden dzień. Rodzice wychowali mnie na Polaka, tylko tak się akurat złożyło, że mieszkaliśmy w Danii. Dopiero kiedy przyjechałem do Polski, dowiedziałem się, że chyba nie jestem prawdziwym Polakiem, bo jakoś dziwnie mówię, dziwnie się zachowuję. Są ludzie, którzy samo moje istnienie odbierają jako prowokację. Źle się z tym czują. „Bo niby kim on jest? Artystą? Błaznem? Wytworem mediów?”

Jestem po prostu sobą, choć to niełatwe zadanie.

CZESŁAW MOZIL

E-book dostępny na

wóblink.com

ISBN 978-83-7515-377-4



9 788375 153774

Cena detal. 39,90 zł